Polskie siedziby rodzinne. Czumów.



Pałac w Czumowie

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

W Czumowie

> Mieszkam dziś w pałacu z elegancką wieżą
> Obok tuż zielone, pyszne łąki leżą,
> Dalej, hen za Bugiem, świecą nagie piaski,
> Jakby zabuźniakom skąpił Pan Bóg łaski.
> Bliżej ciemną falą niesie Bug ponury,
> Niesie i uderza nią o strome góry,
> Lub po niskim brzegu sunie ją łagodnie,
> Tak wędruje fala całe dnie, tygodnie,
> Aż się wreszcie złączy z falą Matki-Wisły
> Której źródła także w polskiej ziemi trysły.
> I po jej korycie biegnie w świat daleki,
> Bo nasz Bug i Wisła, to dwie polskie rzeki.
>
> Z innym kto widokiem zwrócić chce swe oczy,
> Niech na balkon wieży murowanej kroczy.
> Stamtąd jak na dłoni widzisz pola, góry.
> Które, zda się, w dali są podporą chmury.
> Na zachodzie widać ciemną ścianę gaju,
> A na północ góry nieco odchylają
> Widok na część tylko wschodnią, Hrubieszowa,
> Reszta się dyskretnie za pagórkiem chowa.
>
> 23.VI.1909.

Wiersz ten napisał młody guwerner dzieci Pohoreckich, do

których pałac czumowski należał do I wojny światowej. Guwerner ten był historykiem z wykształcenia. Nazywał się Antoni Wiatrowski. Później mieszkał z rodziną w Hrubieszowie, uczył w liceum i pisał pierwszą monografie dotyczącą Hrubieszowa i okolic. Nie znałam go osobiście, ale z jego najmłodszą córką chodziłam do jednej klasy. Przyjaźniłyśmy się. Po latach, pogubione, po wojnie odnalazłyśmy się. Byłyśmy razem w Czumowie i efektem odnowionej przyjaźni są przysłane dla mnie odbitki rysunku pałacu z 1910 r. i wiersz. Piękna sprawa. Te młode drzewa na rysunku, w moich czasach były ogromnymi lipami, a dookoła było pole z cudownymi alejami, sad, rosarium przed pałacem, warzywnik od strony Bugu i cudowne spacery.



Pałac w Czumowie, rys. Antoniego Wiatrowskiego z 1910 r.

***

Pałac w Czumowie pobudowany został na wyniosłym brzegu rzeki Bug, w wyjątkowo pięknym krajobrazie, wybranym przez ludzi, ale obdarzonym przez Boga szczególnym urokiem. Pradolina Bugu między wsią Gródek, niegdyś jednym z grodów Czerwieńkich, a czumowskim dworem nosi nazwę „Królewskiego Kąta" na pamiątkę historycznej przeprawy Bolesława Chrobrego w drodze na Kijów. To tutaj Świętopełk witał polskiego króla. Pałac, swym usytuowaniem i tarasami patrzy na ten rozległy widok, na płynącą zakolem malowniczym rzekę, jej oba brzegi –

łagodny i stromy i na prehistoryczne wzniesienie z Gródkiem.

Dzisiejsza budowla powstała zapewne w końcu XIX w. wchłaniając, być może, wcześniejszy dwór szlachecki. Rodzina Pohoreckich (Edward zakupił dobra czumowskie od Kazimierza Andrycza w 1891 r.) powierzyła zaprojektowanie siedziby dwóm włoskim architektom, których nazwiska nie są nam znane. Zgodnie z panującą w epoce „fin de siècl u" modą, powstała budowla rozrzutna z obszernymi suterenami, pretensjonalną wieżą – klatką schodową, dużymi komnatami, tarasami widokowymi, dwoma gankami, podjazdem, kaplicą i pomieszczeniami gościnnymi na piętrze. Eklektyczna architektura z przewagą stylu klasycystycznego jest mieszaniną rustykalnej willi włoskiej, z dworem polskim i bogatą kamienicą mieszczańską, z dodatkiem romantyzmu w cebulkowatych hełmach: dużym przykrywającym wieżę i w wykończeniach dziś nieistniejących sterczynek na narożnych skarpach**.** Otaczał go niewielki park spacerowy, ogród warzywny i sad od strony zachodniej. Na obrzeżu skarpy posadzono miodne lipy, które tworzyły zielony parawan od północy otulając pałac i zasłaniając od chłodu wiatrów zza Buga. Dojazdowe aleje – topolowa prowadziła przez zabudowania folwarczne, kasztanowa przed ganek paradny. Trzecia aleja, niezwykła, ze starych orzechów amerykańskich, łączyła folwark z czworakami, wyznaczając jednocześnie kres parku.

Historia czumowskiego pałacu wiąże się ściśle z historią dwudziestowiecznej Polski. Do I wojny światowej siedziba rodu arystokratycznego, w czasie wojny austriacki szpital wojskowy, lazaret wojenny. Od 1913 r. pałac odziedziczył Władysław Pohorecki. Po wojnie zniszczony budynek nie od razu był zamieszkany. Wiadomo, że w 1931 r. ziemię orną, o powierzchni ponad 300 ha, folwark i pałac przejęła w dzierżawę wdowa Maria Piątkowska z De Schmieden-Kowalskich (moja ciocia Niusia, najstarsza siostra mamy) do spółki z Pawłem Kubaszewskim. Piątkowscy gospodarowali i mieszkali w odremontowanej zachodniej części z wieżą, praktycznie do wybuchu II wojny światowej. We wrześniu 1939 r. rodzina musiała opuścić Czumów. W pałacu, zdewastowanym przedtem przez zapędzone wojska sowieckie, urządzano koszary dla straży granicznej zw. Grenschutz. Przeprowadzony przez Niemców remont zniszczył elementy stylowe architektury, wycięto drzewa i krzewy, oszpecono lipy.

Teren parkowo-ogrodowy został ogrodzony zasiekami i drutem kolczastym, pilnowały go specjalnie tresowane owczarki alzackie gotowe rozszarpać każdego, kto by zechciał tam wtargnąć. Latem 1944 r. ten stan koszar – więzienia przejęło polskie Wojsko Ochrony Pogranicza (WOP). W rok po wojnie, w 1946 r. Pałac z otoczeniem przeszedł na skarb państwa. Przejął go Państwowy Fundusz Ziemi. Po wschodniej stronie pałacu, tej reprezentacyjnej w zamyśle architektów -budowniczych, gdzie

były duże i szerokie komnaty, miejscowa gmina ulokowała Szkołę Podstawową. W zachodniej zamieszkali pracownicy Państwowego Gospodarstwa Rolnego (PGR). W każdej komnacie jedna rodzina wraz z własnym inwentarzem. Coraz bardziej zaniedbany i zdewastowany pałac powoli pustoszał. Przeniosła się szkoła, wyprowadzali się ludzie w miarę przybywania dziur w dachu. Wreszcie w 1988 r. został sprzedany trzem prywatnym osobom, z których jedna zmarła, dwie pozostałe podzieliły się i terenem i pałacem. Powoli obaj właściciele starali się doprowadzić do stanu kwitnącego, może nawet bogatszego niż był. Doprowadzony został prąd i woda, zrobiona nowa kanalizacja, położone nowe stropy, pokrycie dachowe, tynki zewnętrzne, zagospodarowane sutereny. Powstało miejsce wypoczynku, konferencji, zjazdów, letnich pikników. Wygląd otoczenia zmienia się z roku na rok. Stanęła reprezentacyjna brama u wjazdu, odgrodzono estetycznie część wschodnią z dawnym warzywnikiem, dzisiaj rozległym trawnikiem.

Marzę o tym, by doczekać chwili, gdy będę mogła pojechać tam i bodaj na krótko zamieszkać, koniecznie w maju, posłuchać koncertów słowiczych i żabich, popatrzeć na wstęgę Bugu, świeżą zieleń różnych odcieni i odmian krzewów wikliny, odszukać jedyne stanowisko szczodrzeńca wśród płatów roślinności stepowej.

Od 1997 r. obszar pałacowo-parkowy znalazł się *w* obrębie

„Nadbużańskiego Obszaru Chronionego Krajobrazu” i przeznaczony jest pod usługi kultury i turystyki.

***

Z Hrubieszowa do Czumowa jeździliśmy końmi, które po nas przysyłano, najczęściej była to małopolska bryczka, ale pamiętam i sanie. Odległość 7 km to niedaleko, lecz podróż ta była całą wyprawą przez lessowe podłoże, polskim gościńcem. W letnią suszę less zamieniał się w tumany kurzu, a w deszcze w błotnistą, nieprzejezdną maź. Nie było możliwości ominięcia jednego niebezpiecznego miejsca, bo część drogi biegła wąwozem, zostawiając po prawej pola folwarczne, a po lewej wysokie wzniesienie z miejscowością Gródek, nie widoczną z drogi. Po przejechaniu wąwozu, z daleka widać było aleje starych drzew. Po drodze rosły jeszcze inne drzewa, duże, liściaste, szumiące i po obu poboczach drogi zarośla, krzewy, piękne osty i mnóstwo kolorowych kwiatów polnych, których nazw nigdy nie zapamiętałam. Gatunki wyjątkowe, jak mówią znawcy – roślinność stepowa.



Pałac w Czumowie, fot. z lat 90. XX wieku. Dwie małe postacie przed pałacem, to dzieci Antoniego Wiatrowskiego, guwernera dzieci Pohoreckich

Pachniało tam łąkami soczystymi i ukwieconymi, koniczyną i miodnym rzepakiem, którego złote łany szczególnie przyciągały oczy. Po lewej, w „Królewskim Kącie” malowniczo układały się krągłe krzewy łoziny w przeróżnych odcieniach zieleni i srebrzystości. Bieg rzeki miękką linią rysowały wikliny wplątane w chaszcze, ponad którymi lubiły strzelać wysokie, dorodne, złociste dziewanny.

Podjeżdżaliśmy pod pałac zawsze przez czworaki dworskie, biało pobielane, strzechą ze słomy kryte, ciągnące się po lewej na płaskowyżu, zaraz na początku wsi. Aleją kasztanową, za którą były pola pszeniczne, przez mostek na kanale, koło starego kasztanowca z drewnianą wiszącą kapliczką, miejsc wieczornych śpiewów majowych, mijając cudowną aleję orzechów amerykańskich, bardzo rzadkich (spotkałam takie same na wyspie św. Małgorzaty w Budapeszcie i Lexingtonie w Stanach Zjednoczonych – tylko te dwa razy, a szukałam wszędzie w licznych moich wędrówkach po świecie). Aleja ta okalała łukiem południowo-zachodnią część parku, prowadząc do zabudowań gospodarczych fornali, a dalej do folwarku dworskiego. Od pałacu szło się na folwark drogą dzielącą sad i jagodnik, gdzie były truskawki i poziomki ogrodowe w grzędach oraz rajskie jabłonie, z których jabłuszka rumiane smażyło się w syropie w całości, razem z ogonkami, by później zdobiły torty i mazurki świąteczne. Konfitury z truskawek znakomicie smakowały w ciasteczkach zwanych „trzewiczkami". Babunia chowała je w wielkim blaszanym pudle po herbacie cejlońskiej. Pachniało nimi zawsze w kredensie. Zapach nagrzanych słońcem poziomek towarzyszy mi do dzisiaj. Bardzo chciałam stworzyć namiastkę tego drogiego mi wspomnienia we Wrzechowym (mojego syna Wrzesława) ogrodzie, ale nie dano mi, cieszyć się tym cudem natury.

To, co było ciekawe dla mnie, wówczas dziecka 5-6 letniego – to oczywiście zakazany folwark, z jego oborą, stajnią, zagrodą dla

końskiej młodzieży, chlewnią, parnikiem, kuźnią, rymarnią, stelmarnią, stodołą, gdzie ogromna lokomobila z wyciem młóciła dorodne zboże, a furmanki co jakiś czas odwoziły załadowane ziarnem worki do spichlerza. Ta podróż na workach była szczytem radości i dumy, im wyżej, tym lepiej.

Kiedyś ubrana w czarną, aksamitną sukienkę (po Eli) z białymi mankiecikami i kołnierzem „bébé" asystowałam przy młócce w pyle, który osiadał na aksamicie zmieniając czerń w szarość. Co się działo we włosach, nie chcę nawet wspominać. Najbardziej lubiłam wyprawy z Witkiem (bratem, Wiktorem) poza folwark w pola i łąki, gdzie wypatrzone gniazda trzmieli były celem słodkiego miodobrania. Jedna z wypraw mogła zakończyć się fatalnie – zostałam użądlona w szyję. Piekący ból i opuchlizna wyciskały potoki łez. Witek był przytomny: wygrzebał w stoku grudkę wilgotnej gliny i natychmiast przyłożył. Zostałam uratowana i oboje uniknęliśmy lańska.

W większym gronie dzieci wybieraliśmy się daleko w pola. Składano tam słomę po młócce i układano pracowite sterty na kształt domu z dwuspadowym dachem. A my właśnie w tej słomie kopaliśmy tunele lub zjeżdżaliśmy na pupach z samej góry na dół, naturalnie niszcząc pracę ludzi. Za to spotkała nas kara: źdźbła słomy wbijały się w miękkie części ciała i było z tym wiele kłopotu. Takich jednak zabaw nie było nigdzie i nigdy już potem.

Gdy byłam sama, lubiłam bawić się w podróż. Siadałam wtedy na ganku od wschodu, rozkładałam koce i obłożona lalkami i niby bagażami podróżowałam w dalekie kraje. Te marzenia częściowo się spełniły.

W Czumowie były pamiętne i uwiecznione przez mojego ojca na fotografiach, dalekie spacery z dorosłymi, hen, pod stok wzgórza gródeckiego. Po latach dowiedziałam się od siostry Eli, jakie to ciekawe archeologicznie miejsce. Gródek uważany jest za jeden z Grodów Czerwieńsklch. Wyniki badań są znane i opublikowane przez Muzeum Okręgowe w Lublinie.

Inną przyjemnością i atrakcją były spacery końmi. Dla młodzieży linijka na trzy, cztery osoby siedzące bokiem na długim siedzisku tapicerowanym i bardzo spokojna szkapa w półszorku. Kiedyś Lili udało się nas wysypać do rowu. Czasem brakowało mojego rodzeństwa, bo rodzice delikatni, taktowni nie chcieli narzucać się z czwórką dzieci, mimo usilnych zaprosin. Często więc na wakacjach byliśmy rozparcelowywani: Ela do Wiszniowa do Lili, Witek do Zarzecza do dziadka Taczanowakiego, Julek do pp. Du Château w Raciborowicach lub Strzelcach pod Hrubieszowem, a ja zostawałam z mamą, ciocią i babcią.



Rodzina Fabijańskich – mama (Eleonora z de Schmieden-Kowalskich), Witek (Wiktor), tata (Józef Fabijański), Julek (Juliusz), Ela (Elżbieta) i Teresa Zofia, z kokardą (autorka wspomnień)

Nudziłam się tego pięknego i upalnego lata 1939 r. toteż biegałam na zakazane mi czworaki i z dziećmi folwarcznymi poznawałam życie. Miałam wtedy niespełna siedem lat, we wrześniu miałam rozpocząć szkołę, tymczasem edukowali mnie chłopcy sadownika. Już wiedziałam w jaki sposób podbierają jabłka z sadu, jak pracują kowale, że rozżarzone żelazo parzy, do czego jest potrzebny byk w oborze zawsze z kółkiem w nosie, prowadzany na drągu. Uwielbiałam asystować przy dojeniu krów, nie przeszkadzał mi zapach gnoju, ani specyfika obrządku

bydła, za to lubiłam moment, gdy napełniano miski świeżym mlekiem i nie wiadomo skąd brało się mnóstwo kotów. Dawały się głaskać i mruczały przymilnie. Za stodołą, na kieracie dzieci uczyły dzieci skąd się biorą dzieci. Nie byłam pojętna w tej materii i długo, długo tkwiłam w nieświadomości. Natomiast wielkie wrażenie graniczące ze zdziwieniem spotkało mnie w izbach folwarcznych czworaków. Czystość i schludność w jedności z ubóstwem i prymitywem. Czworaki, chociaż tak je nazywano, nie były typowe, jakie spotykało się we dworach; a więc budynek drewniany, kwadratowy, kryty strzechą lub gontem, czy dranicami, podzielony wewnątrz na cztery równe części, w każdej jedna rodzina. Czumowskie raczej przypominały wołyńskie chałupy małorolnych czy bezrolnych wieśniaków. Wydaje mi się, że były to lepianki z gliny, pobielone, długie prostokąty, w każdym dwa lub trzy wejścia, przed każdym ławeczka. Przed wejściem „chodniczek" wylepiony gliną, po bokach ogródki z mnóstwem kolorowych kwiatów wiejskich, zagródka dla kur z płotem plecionym gęsto z wikliny i większe krzewy oraz malwy, słoneczniki, bób, fasola, groch. Wnętrze, które zapamiętałam było bielusieńkie, czyste, przestronne z wielkim piecem na 1/4 izby wylepionym gliną i pobielonym wapnem. Płyta do gotowania żeliwna, z fajerkami. W jednym otworze tkwił sagan żeliwny na ciepłą wodę, pod płytą buzował wesoło ogień z chrustu zbieranego w lesie, w parku i z odpadów ze stelmarni. Gotowano właśnie kluski na wieczerzę. Zostałam zaproszona wraz z trojgiem innych dzieci, moich wakacyjnych

przyjaciół. Wszystkie dzieci usiadły na polepie, bo w izbie nie było podłogi z desek, wokół stołka do dojenia krów, na którym postawiono glinianą dużą miskę ze strawą. Każde pilnowało swojej drewnianej łyżki i spożywanie odbyło się niezwykle prędko. Bardzo smakowały mi te kluski ze skwarkami. Potem starsi ludzie posiadali na przyzbach i bajali sobie, a dzieci oplatając rączkami kolana, wpatrywały się w rozpryskujące co chwilę iskierki, które natychmiast gasły, ale ogień igrał dalej dając tajemnicze cienie pełzające i tańczące po ścianach i prostych sprzętach. Stworzył się niepowtarzalny nastrój zadumy, było cicho, sennie i świerszcze zaczynały swój monotonny koncert.

W Czumowie nie było światła elektrycznego, życie więc płynęło zgodnie z naturalnym zegarem – pianiem kogutów, wschodami i zachodami słońca. Ta wielka, czerwona kula nad wstęgą Bugu gromadziła nas w domu, gdzie szykowano lampy naftowe i kąpiel. Jedno i drugie roznoszono do sypialni i pokoi gościnnych. Lubiliśmy jeszcze chwilę posiedzieć na nagrzanych słońcem kamiennych schodach przy wieży czując, jak mury oddają swe ciepło. Jeszcze teraz, gdy od czasu do czasu odwiedzam Czumów, mam to wielkie pragnienie, by posiedzieć na wiekowych stopniach, wciąż przecież tych samych.

Z Czumowem wiąże się nie tylko ostatnie lato przedwojenne, beztroskie, najbardziej zapamiętane, ale i to, co bardzo smutne i

tragiczne dla rodziny, dla kraju: początek wojny i nasza wędrówka za Bug, nasz uchodźczy los.

Już pierwsze dni września zaczęły być tłumne od ludzi zwanych przez nas uciekinierami z Poznania i z Warszawy. Było ich coraz więcej i zajmowali wszystkie możliwe do spania miejsca. Ciocia Niusia, która ledwie wróciła po szpitalu z Warszawy, dwoiła się i troiła wraz ze służbą, nie tak znów liczną, szykując wciąż nowe pomieszczenia, posłania i posiłki. Panowała psychoza lęku, wręcz panika. Jedni wyjeżdżali gdzieś dalej na wschód, na ich miejsca zaraz przybywali nowi. Opowiadali straszne rzeczy, jak wojska niemieckie palą i niszczą naszą ojczyznę. Ludzi traktują, jak bydło, każą porzucać domy i mieszkania. Wywożą nie wiadomo dokąd. Te wieści dochodziły zewsząd, niesione przez ludzi do ludzi, budząc strach, dezorientację, naruszając dotychczasową normalność i stabilność. Mroziły krew w żyłach. Wszyscy panicznie bali się Niemców. Ojciec mój (miał jut czterdzieści lat i był w rezerwie) otrzymał długo wyczekiwane wezwanie do wojska. Miał się stawić 9 września w Tomaszowie Lubelskim. Pożegnał więc nas mocno tuląc, ucałował mamę i poszedł … poszedł na wojnę…



Pałac w Czumowie

A my po kilku dniach z Hrubieszowa, wróciliśmy do Czumowa, bo szkoły były zamknięte, nie było chleba i jakoś straszno się wkoło zrobiło. W Czumowie zresztą też, ale tu przynajmniej jeszcze było mleko i piekło się chleb.

Ludzie opowiadali dziwy. Pamiętam, jak stróż nocny przyszedł do babci i zdenerwowany, wstrząśnięty opowiadał nieskładnie o zjawisku na niebie. Można sobie wyobrazić czerwone, ogniste słupy dookoła nieba, a w środku jakby ręka krwawa z sierpem. Czyżby to był widomy znak od Boga? – nie każdemu dane było to widzieć. Stróż był człowiekiem starym, wolno myślącym. Nie

wiedział, co powinien był zrobić. Był przerażony. Nie wiedział czy ma obudzić ludzi we dworze, czy to nie zniknie, czy w ogóle mu się nie śni? Na drugi dzień komentowano to zjawisko i tłumaczono jako zorzę polarną, która z rzadka, ale pojawia się pod tą szerokością geograficzną.

Cała ta historia zrobiła na mnie ogromne wrażenie, zresztą do dzisiaj uważam, że był to znak Boży – ostrzeżenie przed panowaniem komunistów przez pół wieku. Krwawa kurtyna i krwawa ręka z ich symbolem: sierpem i młotem. Prosty człowiek nie zmyśliłby sobie tego, był bardzo przejęty, poruszony.

Tymczasem wrześniowe dni były coraz straszniejsze, panika coraz większa, wieści napływające do nas przerażające. Babcia i mama postanowiły zabrać nas, dzieci i wyjechać za Bug, do rodziny ojca, do Taczanowskich w Zarzeczu pod Uściługiem, aby połączyć się z nimi i być dalej od Niemców. Przewidywano, że rzeka Bug ich zatrzyma.

Nikt z folwarku nie chciał jechać, żeby nie rozdzielać się z rodziną. Tylko jeden fornal o nazwisku Reguła, który był bezżenny, a miał rodzinę na Wołyniu, zdecydował się pojechać z nami. On powoził końmi w bryczce, a furmanką pan Jankowski, jeden z uciekinierów. I stało się. – Wyruszyliśmy w dwa zaprzęgi dwukonne: w bryczce jechała babcia, mama, ja u ich stóp, stangret i Ela na koźle. Na furmance z rzeczami i prowiantem

siedzieli moi bracia w harcerskich mundurkach i czapkach rogatywkach oraz pan Jankowski za furmana. Każde z nas zabrało ze sobą to, co uważało za najdroższe sercu. Witek i Julek zabrali albumy ze znaczkami, które z pasją zbierali. Ela komódkę z laki, bardzo ładną z zawartością drobiazgów i bibelocików, ja śpiącą lalkę Magdę, ślicznej buzi – nasze skarby. Zmieściły się łatwo w schowku pod siedzeniem w bryczce.

Mama, niestety nie zabrała wiele z ubrania dla naszej czwórki, bo wszystko zostało w Hrubieszowie. Na furmance było trochę suchej, żywności takiej, jak mąka, kasze itp. Jechało się przecież do majątku ziemskiego, więc chodziło tylko o podstawowe produkty, reszta miała być we dworze. Bug przepłynęliśmy ostatnim promem odcinając sobie odwrót. I tak zaczęła się nasza wędrówka. Teraz my staliśmy się uciekinierami.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk*

humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM/International Council of Museums/, reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums". Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi

dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa" przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.